

POWIEŚĆ

Prawa do ekranizacji powieści zakupił CANAL



**DWIE WARSZAWY,
MÓWIĄCE DWOMA JĘZYKAMI**

**ŻYJĄCE W OSOBNYCH ŚWIATACH, OKAZUJĄCE SOBIE OBOJĘTNOŚĆ
CZASEM PAŁĄCĄCE NIENAWIŚCIĄ, I MĘCZYZNA, KTÓRY W 1937 ROKU
JEST NA USTACH WSZYSTKICH...**



Nazywam się Mojżesz Bernsztajn, mam siedemnaście lat i nie jestem kimś wielkim, jestem nikim, nie ma mnie, nie istnieje, jestem chudym, ubogim synem nikogo i patrzę na tego, który zabił mojego ojca, patrzę, jak stoi w ringu, piękny i silny.

Bokser w lewym narożniku ringu nazywa się Jakub Szapiro. Mierzy na pewno powyżej metra osiemdziesiąt. Rysy ma twarde i grube, na nosie ślad dawnego złamania, dziewczędotęsiślat dwa kilogramy zbitych mięśni, twardych kości i twardego sadła.

W prawym narożniku Andrzej Ziembinski. Przez chwilę wydał mi się podobny do gwiazdora filmowego, ale zaraz zrozumiałem, że to coś innego, że wygląda jak ze zdjęć i rysunków niemiedkich sportowców, aryjskich półbożków, jakie czasem przedrukowywała iustrowana prasa.

W pierwszym rzędzie na widowni siedzi niski, korpulentny mężczyzna. Wesoly i straszny goj. Nie wiedziałem wtedy, że był człowiekiem, na którego polecenie Jakub Szapiro zabił mojego ojca.

Nazywam się Mojżesz Inbar, mam sześćdziesiąt siedem lat. Zmieniłem nazwisko. Siedzę przy maszynie do pisania i piszę.

SZCZEPAN TWARDOCH



FOT. JACEK WOLKOWSKI

MBP Cieszanów
Król /



0000026895

(ur. 1979)
pisarzy. A
wanej Na
Brücke Be
Wawrzyn
liczbę nom
uznawani
(2010) ora
wicach na

**SZCZEPAN
TWARDOCH
KRÓL**



TWA

SZCZEPAN TWARDOCH

KRÓL

POWIEŚĆ



Warszawa. Burzliwe lata trzydzieste XX wieku. Wielokulturowy, podzielony świat u progu drugiej wojny, targany konfliktami narodowymi, politycznymi, społecznymi, religijnymi. Zwroty akcji, romanse, gwałty, ćwiartowanie ciał, szantaże, przewroty - podszyte przemocą codzienne życie stolicy.

Trzymająca w napięciu powieść, w której autor zderza dwie perspektywy Polski lat trzydziestych: żydowską i polską.

WYDAWNICTWO LITERACKIE
www.wydawnictwoliterackie.pl
bezpłatna linia telefoniczna 800 42 10 40



Cena dla dorosłych
44 zł. 90 gr.

ISBN 978-83-08-06224-1



9 788308 062241

* KSIĄZKA DOSTĘPNA TAKŻE JAKO E-BOOK

* * *

Wszyscy umarli, a ja żyję.

* * *

Wspinając się po schodach prowadzących do Ryfki, Jakub musi odpoczywać co kilka stopni. Myśli o wszystkich walkach swojego życia, o tych chwilach, w których widzi, że przeciwnikowi kończy się powietrze, wtedy Jakub sięga do swoich rezerw energii, lewy, lewy, rozbić gardę, zepchnąć na liny, prawy, jeszcze się broni, więc zejście, prawy sierp na wątrobę, dochodzi boleśnie, więc odruchowo garda przeciwnika idzie w dół, jeszcze lewy na żebra, śledziona i wypchnięcie resztek powietrza z płuc, garda przeciwnika już nisko, mięśnie pleców i brzucha Jakubowego jeszcze mają zapasy, skręcają się, biodro, bark, na końcu krótkim łukiem pięść i Jakub kończy prawym sierpem na szczękę, koniec.

A teraz wchodzi po schodach i nie umie, rzezi mu w płucach.

Za dużo papierosów. Od dawna żadnego treningu.

Nie będzie już boksował, nie będzie już walczył, to wiadomo.

W końcu wszedł na odpowiednie piętro, nacisnął na klamkę, drzwi były zamknięte. Zapukał. Otworzył mu Pantaleon z obrzynem w ręce.

— Nieczynne dziś? — zapytał Szapiro.

— Uznałam, że tak będzie lepiej — odpowiedziała Ryfka.

Nie stała za barem, siedziała w fotelu, paliła cienkiego papierosa, popijała koniak.

— Muszę odpocząć. Pantaleon, weź samochód Kaplicy i jedź do Berezy Kartuskiej. Wiesz, gdzie to jest?

— Za Kobryniem gdzieś, panie Jakubie?

— Znajdziesz na mapie. Zgłoś się tam na wartowni, powinni ci wydać Kuma. Rozmawiałem z premierem. Jakby coś nie grało, znajdź aparat i zatelefonuj tutaj.

— No to z bożą pomocą, panie Szapiro, ruszam w drogę.

— Weź jakiegoś drugiego szofera do pomocy, jedź bez postojów, tyle co zatankować. Sprowadź tu Kuma jak najszybciej.

— Muję bym wziął... Ale nie można.

— Nie można. Jedź. Muszę odpocząć. Muszę się przespać.

Pantaleon nałożył palto i robociarską czapkę i wyszedł na ulicę, zostawiając obrzyn na barze. Po chwili złapał taksówkę i kazał się zawieźć do Kaplicowej willi na Mokotów. Mimo długiego kursu taryfiarz nie chciał zapłaty.

— Pan piękny za darmo u mnie zawsze! — powiedział i kłaniał się z szacunkiem równie autentycznym jak wcale nie ukrywany strach. Obydwa Pantaleon poczytał jako należne mu hołdy, równie przyjemne, co oczywiste.

Zapukał do Kaplicowych drzwi. Otworzyła córka, przywitani się uśmiechnęli, wpuściła do środka, gdzie w kuchni, bo mimo wielu lat w bogactwie ciągle nienawykła do salonu, siedziała Maria Kaplicowa.

— Pan Karpiński... No i się doigrał ten mój, doigrał, na zatracenie wzięli.

— Auto muszę wziąć, pani Kaplicowa. Przywiozę go wam do domu, pani Kaplicowa.

— A bierz pan, na co mi auto, ja to automobili nie uważam wcale.

Starsza córka podała mu kluczyki. Ukłonił się głęboko, z szacunkiem, wyszedł, wsiadł do chryslera i ruszył na wschód.

— Moryc był — powiedziała tymczasem Ryfka, ciągle stojąc u siebie za barem. — Zostawił dla ciebie kopertę.

— Otwarłaś na pewno, więc daruj sobie udawanie, że nie wiesz, co w kopercie.

— Bilety lotnicze. Dla ciebie, dla twojej ślicznej żonki i słodkich dzieciaczków. Na jutro rano. Dwadzieścia cztery godziny.

— Pierdol się, Ryfka. Muszę iść spać.

— Dam ci kropli walerianowych.

Dała, Jakub schował bilety do kieszeni marynarki, broń włożył pod poduszkę, zażył kropli, poszedł do jednego z pokojów, położył się i zasnął. Śnił, że walczy w ringu z wielkim, tłustym bokserem, wyższym od niego o dwie głowy i ważącym chyba dwieście kilogramów, całym w zwałach sadła. Jakub bił z całych sił, ale sadło amortyzowało najsilniejsze ciosy, wielki, tłusty bokser śmiał się głośno, a potem zamienił się w Wenus z Willendorfu, ogromną, pozbawioną twarzy, za to obdarzoną wielką, czarną paszczą.

Nad ringiem, na nocnym niebie unosił się Litani, jego płonące oczy niczym światła pozycyjne aeroplanu.

Jakub krzyczy, śpi już i krzyczy mimo to.

Chwilę później do drzwi ponownie ktoś zapukał. Ryfka wzięła obrzyn, zerknęła przez wizjer, przez chwilę wahała się, czy otworzyć.

— Słyszałam, że tam ktoś jest — powiedziała Anna. — Wpuśćcie mnie.

Ryfka odetchnęła głęboko, przekręciła klucz w zamku, ściągnęła solidną zasuwę, otworzyła z postanowieniem, że wywali wredną sukę na zbity pysk, ale nie będzie chować się za zamkniętymi drzwiami, zrobi to twarzą w twarz, stać

ją na to. W niczym ta zarozumiała, pańska Poleczka nie jest od niej, Ryfki Kij z rodziców nieznanymi, lepsza.

Anna stała na klatce w podartym peniuarze, owinięta płaszczem i się trzęsła. Miała kaca, po twarzy ściekał jej makijaż, śmierdziała przetrawionym alkoholem i wymiocinami. Ryfka poczuła litość. Odsunęła się, by nie zagradzać jej drogi. Zaprosiła gestem.

— Trzeba zapłacić dorożkarzowi — powiedziała Anna słabym głosem.

— I że niby ja mam płacić...? — zachnęła się Ryfka.

— Nie wzięłam pieniędzy, ojciec się zastrzelił...

Ryfka westchnęła. Miała ochotę spuścić bezczelną gówniarę ze schodów, jednak pomyślała o śpiącym w pokoju nieopodal Jakubie, posadziła Annę na jednym z krzesel, na których zwykle siadały czekające na klientów dziewczęta, i zeszała na ulicę, zapłaciła za dorożkę i wróciła na górę.

Anna dalej siedziała tam, gdzie Ryfka ją posadziła i dalej wyglądała jak ofiara wszystkich plag egipskich. Ryfka wzięła ją pod ramię, półprzytomną zaprowadziła do łazienki dla dziewcząt, posadziła na taborecie, napuściła do wanny wody, wsypała wonnych soli, postawiła Annę na nogi, rozebrała. Anna pozwalała robić ze sobą wszystko. Ryfka pomogła dziewczynie wejść do kąpieli, po czym wróciła do salonu, pociągnęła duży łyk koniaku, nastawiła wodę na kawę i przygotowała dziewczynie śniadanie — jajka, chleb, kawa, konfitury.

— Dlaczego ja to robię? — zapytała sama siebie, autentycznie zdziwiona. Nie znosiła przecież tej polskiej kurwy.

— Dla Jakuba, idiotko, to robisz. Bo on chciałby, żebyś to zrobiła — odpowiedziała również na głos na swoje pytanie.

Zaniosła dziewczynie śniadanie do łazienki.

Jan Kaplica zwany Kumem tymczasem śniadania dziś nie jadł. Stał na placu apelowym Miejsca Odosobnienia w Berezie Kartuskiej. Stał w samych kalesonach, bosi, z kikutem lewej ręki zaopatrzonym przybrudzonymi już bandażami. Padało. Trząsał się z zimna. Obok Kaplicy w równym dwuszeregu stali inni więźniowie, ukraińscy działacze, komuniści, kilku endeków, paru zadziornych, lewicowych dziennikarzy, spekulanci, kilku bundowców, wszyscy również w samych kalesonach, wszyscy bez wyroków, a tylko z decyzją administracyjną.

Apel odbierał Kamala-Kurhański.

— Ten tutaj osobnik, niejaki Kaplica, warszawski bandzior, komunista zaszary, wyobraził sobie, że mnie, komendanta inspektora Józefa Kamalę-Kurhańskiego można szantażować. Otóż wysłał rzeczony niejaki Kaplica swojego zbira do mieszkania mojej ciotki Adelajdy, zamieszkałej w Warszawie. I chciał mnie szantażować, że jak mu tu nie będzie dobrze, to moją ciotkę skrzywdzi. Wyobrażacie to sobie, ścierwa, skurwysyny, mendy ludzkie?

Więźniowie obozu milczeli.

— Pytałem się!!! — ryknął Kamala-Kurhański.

Znowu milczenie. Do szeregu więźniów dopadło kilku policjantów, pałki poszły w ruch. Więźniowie zaczęli krzyczeć, że sobie nie wyobrażają.

— No to się bardzo cieszę, że zgromadzone tu ścierwa nie wyobrażają sobie czegoś tak niesłychanego. Albowiem Kamali-Kurhańskiego nie da się szantażować, słyszycie, mendy? Nie da się!

Policjanci ruszyli w stronę dwuszeregu więźniów.

— Słyszemy, panie komendancie! — krzyknęli więźniowie.

— A wiecie dlaczego, gówna ludzkie?

— Nie wiemy!

— Bo ja mam w dupie, czy moja ciotka Adelajda żyje! Jeśli o mnie chodzi, ciotka Adelajda może spłynąć słowiańską Wisłą aż do samego Wolnego Miasta Gdańska! W dupie mam ciotkę Adelajdę! Jedno, czego nie mam w dupie, to nasza kochana ojczyzna, którą takie gówna ludzkie jak wy chcą zniszczyć! I was tego, kurwy, oduczę! Macie na to słowo polskiego oficera, gnidy! Padnij!

Więźniowie rzucili się na błotnistą ziemię. Kaplica również, ale z jedną ręką i osłabiony nie był w stanie zrobić tego tak szybko, jak należało. Pomógł mu policjant, waląc pałką pod kolano. Kaplica, upadając, podparł się świeżym kikutem, ryknął z bólu i zemdłał. Obudzili go biciem. Przez bandaże przesączała się krew.

— Powstań.

Wstał, tak samo jak inni.

Następnie Kamala-Kurhański zarządził czołganie się w błocie, potem kopanie rowów, po to, by zaraz je zakopać. Policjant podał Kaplicy łopatę. Kaplica, ledwie stojąc na nogach, pokazał swój kikut. Policjant trzasnął go pięścią w twarz, Kaplica upadł twarzą w błoto.

— Zostawże go, oprawco! — krzyknął jeden z więźniów, młody, na oko dwudziestoparoletni chłopiec. — To jest stary człowiek! Z ręką amputowaną.

Młodzieńca też pobili.

— Bijże mnie, chuju — wyjęczał Kum, leżąc na ziemi. — Zostaw chłopaka. Jestem lepszy Polak od was wszystkich tutaj razem wziętych, ale jestem stary bandyta i mam krew na rękach.

Policjant kopnął Kaplicę w żebra.

— Kopże, kop. Ja tu powinienem być, jako jedyny. Nie te chłopaki. Ja jestem winien. Oni niewinni.

— Ręką będziesz kopał, ścierwo — zarządził policjant.

— Stać! — wrzasnął Kamala-Kurhański. — Pan Kaplica jest przecież niedysponowany. Panu Kaplicy znajdziemy lepszą pracę niż kopanie. Dół z głównym trzeba opróżnić!

Nieczystości z latryn w Berezie więźniowie wiadrem przynosili do wielkiego dołu, ulokowanego blisko ogrodzenia obozu. Co jakiś czas dół trzeba było opróżniać, do konnego beczkowitzu, również wiadrami, stojąc po kolana albo i po pas w gnijącym gównie.

Policjanci zaprowadzili Kaplicę do stanowiska pracy, a następnie wepchnęli go do dołu i rzucili mu wiadro.

— Chuj wam wszystkim w dupę — powiedział Kum. — Kum Kaplica nie będzie przelewał gnoju.

Było więc bicie, złamali mu parę żeber, potem nagiego, bo kalesony podarły się przy biciu pałkami, i pokrytego gównem wrzucili do karceru.

Pukanie.

— Jestem.

Pukanie.

— Jestem.

Pukanie.

* * *

Wszyscy umarli, a ja żyję.

I ona żyje, a ja nie wiem, kim ona jest.

Siedzę przy oknie. Gryzę chleb z masłem. Bezzębnyimi dziąsłami gryzę ten chleb. Nie wiem, gdzie jest moja proteza. Patrzę na ulice Tel Awiwu.

Arabski chłopiec z wózkiem, na wózku stare meble. Albo stylizowane na stare, piętzą się nogi z giętego drewna i pasiaste obicia foteli i kanap.

Już go tutaj widziałem. Nic się nie zmienia.

Samochody. Żółty fiat, biały peugeot, żółty mercedes. Prawie słyszę ich klaksony.

Pod kioskiem z gazetami pobożny Żyd w czarnym chałacie pali papierosa, czeka na coś. Podobny do Nauma Bernsztajna, jego ciało podzielone jak kogut na kaparot. Mija go dziewczyna w zielonym mundurze, na plecach ma czarny karabin. Jasne włosy.

Nie wiem, czy jest ładna, czy nie, odwrócona jest plecami. Prawie widzę, jak kołysze biodrami. Prawie widzę, jak idzie.

Cisza. Okno nie przepuszcza żadnych dźwięków.

— Ja nic nie pamiętam, nie wiem, co było potem, nic.

— Długo będziesz udawał, że nie wiesz, kim jestem? — pyta.

Siedzi obok mnie, na krześle. Jest stara, bardzo stara.

— Przypomniałam sobie, o jaką Magdę ci chodziło. Magda Aszer, prawda? Była taka dziewczyna, dość ładna. Spałeś z nią nawet, jak ze wszystkimi ładnymi dziewczynami w naszej dzielnicy. Wymyśliłeś sobie, że ten biedny chłopiec, którego zabiłeś, spotykał się z Magdą Aszer, tak? Że z nią zrobił swoją aliję?

Nie słucham. Nie odpowiadam na to.

— Idiota... — prycha.

— Kiedy wyjechaliśmy z Warszawy? — pytam.

Patrzy na mnie, jej stalowe oczy są jak wyloty luf. Jakby miała coś powiedzieć. Ale nie mówi. Wzrusza tylko ramionami, odwraca się. Wkłada do lodówki bryłę żółtego sera,

salceson owinięty niestarannie w przetłuszczony papier. Czerstwiejący bochenek chowa do chlebaka.

Patrzę na gruby plik kartek obok maszyny. Skończyłem pisać.

To, co jest dalej, nie powinno zostać napisane.

— Nie wiem, jak dotarliśmy do Tel Awiwu... — mówię drżącym głosem.

Patrzy na mnie. Ciągle mam szerokie plecy boksera, chociaż reszta mi sflaczała jak u starego sępa, łysa głowa, obwisłe podgardle, pokryte wątrobowymi plamami dłonie. Na prawej ledwie już widoczne hebrajskie litery: מווח, mem, waw, waw i taw, śmierć, śmierć, śmierć, śmierć.

— Wymyśliłeś sobie, że jesteś kimś innym i gdzieś indziej, prawda?

Arabski chłopiec z wózkiem, na wózku stare meble. Albo stylizowane na stare, piętrzą się nogi z giętego drewna i pasiaste obicia foteli i kanap. Wycięta z gazety fotografia oprawiona w ramkę od świętego obrazka, zawieszona na ścianie.

— Jesteś Jakub Szapiro. I jesteś tutaj. Masz osiemdziesiąt osiem lat. I jesteś tu ze mną.

Nagle wiem. Cały czas wiedziałem, ale teraz wiem nagle, jakby ktoś zapalił światło w ciemnym pokoju, i nagle widzę wszystko, o czym tylko wiedziałem.

Ryfka. To ona. Dlaczego Ryfka? Gdzie jest Emilia? Patrzę w ścianę.

Ryfka wstaje, postępując, rozsuwa zakurzone zasłony. Mieszkamy wysoko, na ósmym piętrze. Szare bloki, domki, duży staw. Po stawie pływają kaczki. Przy ulicy parkuje kilka samochodów. Dwa małe fiaty, stara warszawa, škoda. Pastelowe kolory. Dalej jakieś drzewa, jakiś kościół.

Na staw tutejsi mówią „Maroko”. To wiem. W bloku mieszkają głównie górnicy, mówią dziwnie po polsku, jakby jakimś slangiem, czasem słyszę to przez drzwi, ale ich nie spotykam, od dziesięciu lat nie wyszedłem z tego mieszkania.

— Nie jesteśmy w Tel Awiwie — mówię, nie wiem po co.

— Byłeś królem Warszawy. Dwa lata.

Wiem, że byłem, dwadzieścia trzy miesiące królowania, a jednak nic nie pamiętam.

— A potem...?

— No a jak myślisz?

Potem jest czarna dziura. Nic. Pustka.

— Emilia była za słaba. Na getto. Panienczka. Nie miała szans.

— Zamknij się... — szepczę, chociaż chciałbym krzyczeć.

— Sam się zamknij, Jakub. Za długo milczałam. Całe to pierdolone, polskie życie milczałam. Bawiłam się w twój cyrk. Miałeś polskie papiery, pamiętasz?

Nic nie pamiętam.

— Nie chcesz pamiętać. Ale byłeś zbyt znany, wielki Jakub Szapiro, panisko, trzeba było uciec z Warszawy, ale na to byłeś zbyt pyszny. Donieśli na ciebie i wylądowałeś w getcie jak wszyscy. Pamiętasz getto?

Nic nie pamiętam.

— Wielki urka Jakub Szapiro w policyjnej czapce, z opaską Jüdischer Ordnungsdienst na ramieniu. Spasiony, pijany wieprz z pałką przy pasie. Pamiętasz?

Nic nie pamiętam. Z trudnością unoszę dłonie, zatykam uszy. Ale wszystko słyszę.

— Pamiętasz, pamiętasz. Tylko udajesz, że nie. To ja nas wyciągnęłam z getta, ja! O tym też zapomniałeś?

— Milcz, proszę, milcz... — szepczę.

— Nie będę milczała. Za długo milczałam. To ja nas uratowałam, skurwysynu. Ty byłeś na to zbyt pijany. I za gruby. Gnuśny. Wzięłam resztę twoich pieniędzy i wykupiłam nam wyjście. Pamiętasz? W czterdziestym drugim, jeszcze przed Grossaktion.

Nagle pojawia się myśl, straszna myśl, wybucha mi w głowie, pali, pulsuje oślepiającym, białym światłem.

— Gdzie są chłopcy...? — pytam.

Ryfka zaczyna się śmiać.

— A gdzie mają kurwa być? — krzyczy. — Tam gdzie wszyscy!

Dlaczego ja żyję? Dlaczego ona żyje? Nie przestaję zatykać uszu dłońmi, ale przecież wszystko słyszę.

— Nie chciałam ich. Nie chciałam Emilii. Chciałam tylko ciebie. I tylko na nas dwoje starczyło pieniędzy i złota, rozumiesz? Oni zostali.

Daniel. Dawid. Pamiętam ich małe ciała. Białe palące światło wybucha mi pod czaszką, spływa do brzucha, skręca wnętrzności. Daniel. Dawid.

Jesteśmy na plaży nad Wisłą. Nie wiem, który jest rok. Mają może siedem, może osiem lat. Stoją po kolana w wodzie, skapani w ostrym, lipcowym słońcu, jest gorąco. Chlapią się, krzyczą, parszczą. Leżą na plecach, na ręczniku, czuję, jak na mojej skórze wysychają krople wody. Daniel biegnie do mnie, krzyczy „tata!” i rzuca się na mnie, mokry i zimny i leży na mnie, taki mokry i zimny, gęsia skórka podnosi przeźroczyście włoski na jego ciele, jego cieniutkie ramiona mogę objąć palcami jednej dłoni, Daniel tuli się, ja głaszczę go po mokrych włosach. Zazdrosny o ojcowską miłość Dawid przybiega po chwili, jego też tulę, ich skóra dotyka mojej skóry, obaj leżą na mnie, potem zaczynamy się wygłupiać, chłopcy próbują mnie

pokonać, siadają mi na rękach i krzyczą, że mam się poddać, poddaję się, jestem pokonany. Nigdy nikogo tak nie kochałem i nie będę kochał, ani wcześniej, ani później, Kocham ich miłością, która mogła ich uratować, ale nie uratowała.

* * *

Moryc zostawił bilety na lot do Salonik dla Jakuba i Emilii u Ryfki i pojechał do swojego skromnego mieszkania, gdzie czekała nań Zosia. Pokazał jej bilety. Długo trzymała je w dłoni, studiowała tak, jak pobożny Żyd studiuje Torę.

— Jedziemy — powiedziała w końcu. — Jedziemy.

Objęła go. Pocałowała. Poszli do łóżka i kochali się, myśląc o nowym życiu, potem leżeli, paląc papierosy, potem wyszli z łóżka i nie ubierając się, nago zjedli kolację, potem wrócili do łóżka i znowu się kochali. Bilety leżały na nocnym stoliku, a oni przytuleni rozmawiali.

Rozmawiali przyciszonymi głosami, jakby to była tajemnica, mówili sobie wszystko, co wiedzieli i co im się wydawało, że wiedzą o życiu w Palestynie, mówili o tym, spodziewając się trudu, ale przede wszystkim pełni nadziei. Mówili o dzieciach, które im się urodzą, już tam.

Zosia była niezwykle podniecona wizją lotu aeroplanem i wypytywała Moryca, czy wie, którym polecą. Moryc odpowiadał, że chyba Lockheedem Electra, ale nie był pewien.

Potem, wtuleni w siebie, zasnęli, a potem obudził ich trzask wyważanych drzwi.

Moryc obudził się o pół sekundy za późno. Sięgnął po broń, chwycił, nie zdążył strzelić, bo dwie kule z astry Andrzeja Ziemińskiego uderzyły go w pierś, a jedna w czoło. Ta, która uderzyła w czoło, podobnie jak poprzednie kalibru 7,65 mm, zniszczyła płyty czołowe mózgu Moryca Szapiry